

ORĘDOWNIK

NAUKOWY.

Spis rzeczy 25go Numeru: „Jan Wyhowski, przez Michała Czajkowskiego, Monaster. — Ostatnie chwile J. U. Niemcewicza. — Korrespondencya. — Nowiny literackie.“

JAN WYHOWSKI

przez

Michała Czajkowskiego.

III.

MONASTER.

W baturyńskim lesie między Nikolskiem a Ułężą, stał sławny monaster pod godłem Trójcy Świętej. — Na północ monasteru leżało jezioro, we środku czyste, a tak spokojnej i gęstej wody, że zdawało się oku, jak lawa zastygniętego srebra; choćby jaka burza była na świecie, to wody zamarszczyć nie zdołała — i jaskółcze skrzydło od wody się odślizgało, i muśnięcia na niej ani znać było — po jeziorze nigdy a nigdy czołno się nie pluskało, bo tam ryba nie mieszka, bo tam ptak się nie pławi. — Do kola jeziora opasała się rąbem lozina, szuwarem, chuszczami podszyta. — Za tą loziną hulaszczą dąbrowa, zrzadka sterczą dęby rozsochate, niby strażnicy monasteru, czołami w niebo patrzą, a gałęzie chyłą ku ziemi, jak do podjęcia, jak do uścisku — trawa bujna, szerokolistna, narzucona różno-

barwném kwieciami: tam liliowe dzwonki piją rosę, wstydząc się słońca; i medwedunka Ukrainka zpod mszystego liścia to zorzą, to błękitem się mieni — piwniak młodzić od słońca jaskrawiej jaskrawiej, krwawnik w trawie wstydem plonie, ostrożka po nad trawą buja — a krasny budiak wszystkim hetmani. — Wśród takiej dąbrowy było jezioro, i nigdzie oko ludzkie nie mogło znaleźć śladu, zkąd się brały wody, i gdzie odpływały — na jeziorze nie było pleśni, ani ubytku — zawsze w równi stało — zawsze było czyste. —

Dąbrowa zajęła krągłe wzgórze, a około wzgórza posłało się bagno przepaściste, istna topielica — a za bagnem het ku Ułęży, ku Szymakom, ku Nikolskowi, ku Usty ciagnęła się czarna puszcza — przez bagno, jedna tylko sugłówka prowadziła na wzgórze długą a krętą taśmą. — W puszczy było kilka drożyn, ale to takimi wertepami, że ludziom tam tedy jeździć, to kara Boża. — A tak tam bezludno, że nigdzie nie słyhać sopilki pastuszka, ani kulata bydlęcia, w całym lesie nie było ani futuru, ani pasieczyska — Monaster tylko sam jeden

w baturyńskim lesie gościł, ani dobrego, ani złego sąsiada nie miał. — I dla tego jedni zwali go Trojeckim Monasterem, od godła Świętej Trójcy — drudzy Samotnikiem. —

Jak wieść niesie, że kiedy Ataman Swiergowski z młodziami na Wołoszę poskoczył — bratnią ręką podać gospodarowi Iwoni, chrześcijańskim żelazem wychlustać psa bisurmana — trzy jego córki, kraśne dziewice, ojcowskim groszem w baturyńskim lesie monaster wystawiły: poświęciły Świętej Trójcy, na uproszenie czci i sławy ojcu i kozactwu — i powiedziały: tu będziemy czekały, póki ojciec nie powróci — czekały i nie doczekały się ojca powrotu; — ale przed śmiercią doleciała ich wieść o uczciwej śmierci ojca, o sławie, o czci atamańskiej, o sławie, o czci kozaczęj — pomarły dziewczycami — a ich towarzyszki, takż kozacze dziewice, przysięgły na monasterne życie, i ztąd powstały Czernice baturyńskiego lasu. —

Monaster w czworogran się wznosił; w ścianie od jeziora była brama, dniem i nocą na wrzeczadze zaparta — Na bramie był przybity krzyż Zbawiciela — pod nim święcielnica z wodą święconą i kropidło — nad bramą wieżycza darła się w trzy ramiona, i na każdym stał krzyż złożony — obok trójramiennej wieżycy, druga kopułą kryta, a pod nią trzy dzwony, jeden pod drugim, na wiązaniach zawieszzone — tam była cerkiew, a obok niej mieszkanie starego Czerńca, spowiednika zakonu, i starego dziada posługacza cerkiewnego — i ta ściana zwała się ścianą Świętej Trójcy. — W ścianie od wschodu były mieszkania gościnne dla pielgrzymów i podróżnych, okna z niej wychodzą na dąbrowę, na świat Boży, i ta ściana zwała się ścianą błogosławionej Anny, od imienia najstarszej dziewczicy Atamana Swiergowskiego. — Południowa strona przeznaczona od nadworu dla chorych, od środka na rozmaite składy, i ta strona zwała się ścianą błogosławionej Zofii, od imienia średniej córki Atamana Swiergowskiego. — W zachodniej części mieszkały Czernice, do tej

części wchód był ciągle strzeżony zamkniętą furtą — a przez kurytarze małemi drzwiami był wchód do cerkiewnego chóru — ta część zwała się ścianą Maryi, od imienia najmłodszej córki Atamana Swiergowskiego. — We środku ogród warzywny, przerzucany sadem śliwkowym i wiszniowym — tam była krynica ocembrowana, a nad nią groził kruk z zaczepionem wiadrem — Ogród był częstokolony, a w koło niego szerokie miejsce przechodu.

W zaczeluścionych kurnikach śpiewał drób w różnogłosy; ale go widać nie było — slychać było i rechtanie wieprza, ale go widać nie było — czasem kot na dachu się ukazał, albo kuna zpod muru pod mur przebiegła — i kilka lisów biegało około częstokołu, zaglądało, jakby tu można z monasteru wyleść — to gospodarstwo księdza spowiednika — Zewnątrz siwemu monasterowi przeciwnym obyczajem, jak u ludzi, młode lysiny na starość co raz bardziej a bardziej chwastem porastały. — W samotnym monasterze za zwyczaj było cicho, głucho, jednak i jednako — ale od dni kilku nie tak się działo, przyjechali niepielgrzymowie, ale podróżni — i to dostatni, bo dworno przy nich było. — Czerniec spowiednik poznał pułkownika Wysoczana, bo i Czerniec Filaret zakonikiem się nie urodził, kiedyś, kiedyś on bratem koniem po stepach hasał, — kiedyś, kiedyś siostrą szablącą motał w prawo, w lewo; dla niego jęczał wróg pod nogami, dla niego śpiewała czarnobrewa krasawica. — Oj! oj ganiał on i na czajce w bisurmańskie grody — znał się on z Wysoczaniem, witał dawnego brata wojny — patrzył na konia, na szablę — i dawne czasy mu się przypominały, a kiedy ujrział niewiasty czarnobrewki, i dowiedział się, że to córki Chmielnickiego Bohdanka, to tak w nim kozacza krew zagrała — że na ich jedno słowo gotów by się dał rozewiertować.

Przełożona ksieni Czernic, rodzona siostra Wysoczana, przyjęła gości — mieli wszelkie wygody, ale oko ich nie widywało żadnej Czer-

nicy, tylko ucho słyszało śpiewy w cerkwi. — Obie czarnobrewki tęskniły na tém odludziu, i w dniu po kilka razy na dzień pytały Wysoczana, co się dzieje na Bożym świecie, gdzie ich mężowie? — On wciąż jedno i toż samo odpowiadał. —

— Żaden mnie posłuch jeszcze nie doleciał, ale mam ja wiernego człowieka przy Cieciorze, on mnie o wszystkim doniesie. — Córy mojego nieboszczyka hetmana, bądźcie spokojne, włos wam z głowy nie spadnie, wrócę was waszym mężom — ale teraz, póki zamieć w Ukrainie, lepiej tu posiedzmy — a jak nam nasze słońce zajaśnieje, to ruszymy w drogę. — Obie czarnobrewki znały wierność Wysoczana dla krwi Chmielnickiego, on nad nimi mimo ich wiedzy czuwał, i jak tylko zkmetował, że Cieciora nieczestne zamiary knował, natychmiast uprowadził je z kozackiego obozu. — Wysoczan dziki, okrutny tak, iż go wszędzie nazywano rozumacha kozacka. — Lachów nie cierpiał, jak kot psa, a Moskwę, jak pies kota. — Z Bisurmanem tak się nie godził, jak ogień z wodą. — A Wołoszy tak był przyjaznym, jak woda ogniowi. — Bohdana Chmielnickiego tyle ukochał, co swojego konia, i swoją szablę, i do jego krwi czuł także samo przywiązanie. — Niemiał ani żony, ani dzieci, ani żadnego serdecznego drucha w całym kozactwie — za młodu powiadają ludzie, że jakotako z ludźmi przystawał, ale na starość to się zmieniło. —

Do jednej siostry ledwie parę słów przemówił, i ze starym Filaretem unika rozmowy — jego służba powiada, iż jeden tylko dudarz Naum Pohany, dla brzydoty swojej twarzy, tak przewzany od kozactwa, miał do niego przystęp — a ten dudarz, diabeł to wie, jaki człowiek, wszyscy mówią, że niesamowity.

Dzień to był sobotni, dzień Matki dziewicy, słońce ojaśniło świat cały, ukraińskie niebo takie czyste, że kiedy sokół leci, to oko kozackie dojrzy śladu jego lotu — a wiatr tak drzemał, że kozackie ucho, choć tam z wysoka, słyszy

poświst jego pióra. — Obie czarnobrewki wyszły na dąbrowę; chodzą sobie jak dwie łanie, to kwiecie zbierają, to wysłuchują, czy jaki rozgłos nie homoni po puszczy. — Wysoczan do koła nich z daleka krąży, jak drop stadnik, oko bystre na zyrki, a ręka chwátka do szabli. — Patrzył na niebo, od wschodu pojedynczo orzeł po orle leci — pomruknął. —

— Czy już po wszystkim? —

Znowu patrzy od zachodu na wschód, kawki i wrony tabunami się taszczą — machnął ręką —

— Już po wszystkim! —

I Czerniec Filaret także ku jezioru się zbliżył, i on patrzył na orły, na kawki i na wrony — zrozumiał, co to znaczy, żegnał się krzyżem świętym, bił się w piersi i szeptał pacierze i modły, o wieczny odpoczynek dla dusz poległych w boju ludzi — o przebaczenie im ich win! —

Aż tu w lesie zagwizdało — nie sowa to, ani zadna ptaszka. — Wysoczan się naszczulił, i obie czarnobrewki ku niemu się zbliżyły — jeszcze pogwizduje. — Wysoczan machnął ręką. —

— To on — to Naum —

— Wieści nam niesie. —

Obie czarnobrewki zaświegotały i rozglądają po dąbrowie. — Aż tam idzie starzec, a obok niego dziewczyna — starzec rudobrody, a taki ponury, jak pies przed wścieklistą — dziewczyna czarnobrewa, a tak smutna, jak owieczka na powrozie. — Już przyszli — dziewczę milczy — a rzecz dziwna, Wysoczan z Naumem nie powitali się kozackim obyczajem — Sława Bogu — Na wieki wieków — tylko Wysoczan mruknął. —

— Cóż tam słyhać u diabła Naumie? —

Obie czarnobrewki uszy nastawiały ku starcowi, a okiem patrzyły na dziewczynę, bo twarz starca im nie w smak. — Naum na nie niby nie patrzył — odmruknął: — Pożarskiego diabli wzięli — Cieciora zmarnował czaple pióra, bo dwom czaplom piórom nie być na kozackiej

ziemi — Na diabieśmy imię zeszedli — pan pisarz hetmani — a krew naszego ojca hetmana, krew Chmielnickiego uniżenie pana hetmana słucha. —

Obie czarnobrewki spojrzwały na siebie, a Naum, jak z umysłu westchnął. —

O tak — tak mnie żal, czemu nie Jurysko, wszak to rodzone dziecię Bohdana — czemu nie Neczaj — czemu nie Daniel, wszak to przybrane dzieci hetmana nieboszczyka — czemu nie oni czaple pióro noszą — a to pisarz — człowiek z niczego, i niczem Chmielnickiego krwi — — — Oj gorzko — nam gorzko — na liche imię, do diabła kozaczyzna idzie. — Obie córki Chmielnickiego słuchały — a Wysoczan się zniecierpliwił.

— Babom płakać i narzekać, a nie nam — cóż tam teraz Naumie? —

— Pan pisarz panuje, Lachy i Tatary po Ukrainie się włóczą. —

— A toż co za dziewczyna? —

— Córka Buniuczego Prokopa, osadniczego Putywła, mnie ją powierzył, żeby ją schować przed Lachami i Tatarstwem. —

Helena przygarnęła do siebie dziewczynę —

— Parasko — to moja siostra mleczna. —

Zbliżył się Czerniec Filaret — Czerniec wzdrygnął, i Naum się wzdrygnął, może oni gdzie się z sobą i znali. — Czerniec imię Boże wyszeptał — a Naum wymruczał imię diabła — Kiedy wchodzili do monasteru, wszyscy palce prawej ręki maczali w wodzie święconej, i trzykroć razy żegnali się krzyżem świętym, tylko jeden Naum tego nie uczynił. — A jak Czerniec wziął kropidło i [wodą święconą i ludzi i gmach błogosławił. — Naum się umknął, i wstrząsł się, jak gdyby go dreszcz napadł. Nikt tego nie zważał, oprócz starego Czerńca. —

Naum wszystkie a wszystkie wypadki opowiadał Wysoczanowi, a czoło starego pułkownika chmurzyło się i chmurzyło, a usta burczały imieniem diabła — w końcu powiedział: — Neczaj dudek — Ciecziura szachraj — Chmielnickiego krew musi panować — niech ich wszystkich diabeł pobierze. —

Mleczna siostra Heleny opowiadała o Putywlu, jakiego tam ludu mnóstwo — jak ojcu nie wiedzieć co się przywidziało i wyprawił ją tu na pustynię — rozpowiadała o Sirku Hołubczyku, dwa razy go tylko widziała, raz na tańcach, drugi raz w ogrodzie — widno, że Sirko czasu nie stracił, bo w serduszkach dziewczyny dobrze się rozgościł. — Helena wypytuje, czy jej co nie mówił o Danielu Wyhowskim, bo Wyhowscy a Sirkowie, to przyjaciele pobratni na pahulankach kozacych. Biedna czarnobrewka mniemała, że Sirko taki niegłazny *), iżby miał

*) Wyrazy ukraińskie tak często w powieściach P. Czajkowskiego znachodzone, były powodem Panu J. do zanieśienia następującej Supliki do Autora Powieści Kozackich.

Suplika do M. Czajkowskiego. Pisma Twoje, zacny pisarzu, są nietylko dla nas, ale i dla Niemców, Francuzów i t. d. prawdziwą szkołą obyczajów, zwyczajów, charakteru kozaków, bo dotychczas mało co więcej, jak oni, to jest, prawie tylko z imienia znaliśmy kozaków, i gdzie nie jednemu powieść o Zeloźniaku zdawała się bajką o żelaznym wilku. Cośmy z źródeł historycznych wdziedzieli o Chmielnickich, Konaszewiczach, Kunickich i t. d., to wszystko było niedostateczne. Pan dopiero wystawiasz nam kozaków w wiernym obrazie, w prawdziwym świetle. Wdzięczność, szczerza wdzięczność Panu za to, a wdzięczność tę z równym uczuciem podzielają nawet Niemcy i inni. Przypominam sobie z rozkoszą, jak drukowany Rheinland głosząc swoim czytelnikom pierwszą powieść kozacką podług przekładu w Głogowie wydanego, o mało nie pękł z radości, a może i z zazdrości i gniewu; siedząc się bowiem na swoich niemieckich powieściarzy, ciężko ich potyrał, chociaż i między nimi niektórzy znamienite mają zasługi, a jak któryś z naszych nieboszczyków batożnych *Quae-maribus-solum-owiczów* — za pozwoleniem żyjących może jeszcze, *Mascula-sunto-wiczów* — nauczył: *omnis* krzywda grzech. — Oprócz jednej powieści kozackiej, wytłomaczonej niegdys w Rheinlandzie, nie jest mi znajomy cały przekład Głogowski, wyznać jednak winienem, iż ten, co uskutecznił przekład niemiecki, lub ten, co mu w trudnej pracy był pomocą, lepiej znał język kozacko-polski, jak go znają czytelnicy Poznańscy. Podpisany J. — ale nie Judasz — w imieniu przychylnych Panu czytelników, chociażby nawet między nimi byli i Judasze, zanosi do Pana pokorną suplikę, którą kreśli *comitante Jove pluvio* po długiej posusze, ażebyś idąc

ładnej dziewczynie gadać o przyjaciółach, albo o innych bajach — on nie z takich ludzi — I Paraska nie umiała odpowiedzieć na pytanie Heleny. —

Wysoczan postanowił kilka dni przeczekać, a tymczasem wysłał gońców na zwiady.

za chwalebny, a nam bardzo dogadzająym przykładem Mickiewicza, raczył w następnych swoich powieściach, któremi Ci jeszcze siła wieku i pióra pozwoli nas obdarzać, wyrazy, przy których łatwo tego uznasz potrzebę, objaśniać, choć w nawiasie, wyrazami dla wszystkich zrozumiałymi, przez co stałbyś się i powszechnie zrozumiałym i w zasługi bogatszym, podając tym sposobem klucz do prędszego zrozumienia i dawniejsze Twe powieści odczytującym. I tak np. Orędownik w ostatnich numerach wyprawił w świat wyjątki z Twojej powieści „Jan Wyhowski.“ Strawniejszem byłoby to pierwsze danie, gdyby go nie opóźniały wyrazy, których nawet siedzący przy mnie w altance wyższego rzędu oficer, co nietylko w różnych stronach na polskiej ziemi, ale i pod obcymi niebami wywalczył sobie rycerskie krzyże, niemogąc zrozumieć, chętnie się na moją suplikę pisze. Łatwo wprowadzić w niektórych miejscach odgadnąć znaczenie nieużywanych u nas wyrazów, gdzie je rzecz sama objaśnia, jak np. „orlim zyrkiem dopatrz“ „jak djaka w książce uczy“ „wąsem się poczwanił“ „trapała wyciął“ „kopytami ziemię kołubią“ „po czajczemu kihieczą“ „jak wilki w jarugi się cisną“ i t. d. — ale „i on ciebie kołubi“ „że i z niedźwiedziami mógłby pójść w boruki“ „czy uciąć w przysiuły, metki, proworny“ i t. d. — to sęk prawdziwy; aż mi się z czupryny kurzy, gdy czytam te i im podobne wyrażenia, a skutek tego: ani rusz z miejsca. — Tęj nauki koniecznie potrzebujemy, o to Cię, lubiony pisarzu, prosimy. Co do zabawy, prawdziwie przyjemnej zabawy, jaką czytelnikom niesiesz, powiem tylko, że chociaż serca ich zakrwawiasz niekiedy Ziełżniakami, Gontami i podobnymi im potworami, to zaraz znowu szczęśliwym zwrotem bolesne wrażenie, jakie robi pamięć owego „*Patres nostri peccaverunt*“, zrzęcznie zacieraszą, a np. „panem“ „Tnę — potnę“ dobry i wesoly humor im powracasz. Potrzebnymi nam tu i owdzie objaśnieniami, prawdziwą nam pohulanek powieściową zgoutujesz. — Potuszając sobie, iż niniejsza suplika moja tem samym sercem będzie przyjęta, jak była pisana, zostaje Twoim, drogi sercom naszym powieściopisarzu, prawdziwym wielbicielem, jak jestem pilnym Twoich powieści czytelnikiem.

J...

Mrok szary po niebie, jak mglisty tuman ponad ziemią się rozwija; na dębach ptaki już zadrzemały, w lugu lis skowyczał, a niebawem wilk w puszczy zawył. — Stary Naum nie chciał nocować w monasterze, mówił, że mu tam ciasno oddychać, gdzie niemo — poszedł nocować na dąbrowie. — Czerniec Filaret pokręcał głową, wyszedł na dzwonnice patrzeć, co ten człowiek będzie robił. — Chodzi ponad jeziorem, wzrok wnrzył w ziemię, jak pies, co zwierza tropi — zbierał ziele, choć ciemno, chróst łamał, i zniknął z oczów w łozinie — długi czas nie było go widać — aż nareszcie się ukazał, ale ledwie majaczył, tak już zaciemniało w powietrzu. — Widział Filaret, jak rozłożył ogień, tuż pod oknami, gdzie mieszkały córki Chmielnickiego, sam usiadł, grał na cztero-stronnej bandurze i śpiewał: —

Hej, wyje wilk w czarnej puszczy —
Gwiżdże sowa, w ciemnej huszczy —
I noc czarna, czarno płynie —
Smutno, tęskno Ukrainie. —

Pan Chmielnicki nasz serdeczny —
Poszedł, poszedł, w pokój wieczny —
Obey człowiek nam panuje —
Krwi Bohdanka rozkazuje. —

Hej w zakonie syn Bohdana,
Kraśne córki mają pana —
A kozakom łaza nie płynie —
Smutno, tęskno Ukrainie. —

Cześć hetmańska, nasza sława —
Buńczuk, kary i buława —
Czaple pióro, pieczęć złota —
Wszystko poszło w obce wrota. —

Obey człowiek rej nam wodzi —
I hetmani naszej młodzi —
A Bohdanka krew nie słynie —
Smutno, tęskno Ukrainie. —

Drumkał Naum, a tylko jedna głowa wychyliła się z okna i słuchała jego pieśni — była młodsza córka hetmana nieboszczyka, Helena, żona Daniela Wyhowskiego. — Naum podniecał ogień i w czarnym tle dym biały, niezwyčajny, wzbił w górę, a dudarz jakby niechcący poganiał go ku oknu, gdzie była czarnobrewka. —

Tak drumkał i jedną a też samą pieśń śpiewał, i ogień podniecał, i dym poganiał, póki Helena od okna nie odeszła, i okna nie zamknęła. —

Stefanida, żona Neczaja, przy łóżku klęczała i modliła się do Boga — a Helena i modlić się długo nie mogła, i drumkanie i śpiew nie mogły ją rozerwać, tak jej tęskno za mężem kochankiem — a sen gwałtem ciśnie się na powieki — jeszcze wcześniej — północy niemasz — a obie siostry nim zasnęły, zawsze zwykły długo, a długo z sobą gadać — choć cały dzień razem z sobą przepędziły — bo w sercu kobiecém tajemnice plenią się a plenią — snują się a snują i nigdy tak nie wysnują, żeby tam zostawiły czczość. — Ale tą razą ledwie spać się pokładły, Stefanida gadała i nie odebrała żadnej odpowiedzi.

— Heleno — ty śpisz — Heleno — darmo wolała — Helena spała i sen jej nie był pustym — ledwie oczy zamrużyła — stanął przed nią ojciec — w sutym atamańskim stroju, jaskrawym od złota i drogich kamieni — ale najkрасiwsze ze wszystkiego, było czaple pióro przy czapce — twarz jego była ani smutna, ani wesoła — wziął córkę za rękę: — Chódź za mną.

I ona za nim szła — Szli z monasteru na dąbrowę po nad jezioro, i po jeziorze zaczęli chodzić — ale tam nie oni sami tylko byli; mnodzy ludzie przechadzali się tak, jak i oni suchą nogą — a wszyscy byli w kozaczyh strojach, i wszyscy mieli przy czapkach czaple pióra — nie mówili do siebie, nawet większa część zdawała się stronić od Chmielnickiego — a Chmielnicki gadał do córki — Patrz na tego, jaki rosły, jaki butny, to Lach Lanckoroński z rodu, Przeclaw z imienia. — On na Moskwie, na Bisurmanach pokazał, co kozacza może — mógł być królem wszęd Rusi, a przyprowadził kozactwo i oddał Polsce. — Obok niego, ten łysy, to Ostafi Daszkiewicz, dziecię Dnieprowe, porohów kochanie — przedmurze i podpora Polski. — Podle niego Bohdanko książę Rożyński, powiernik wielkiego króla — to trójka nierozzerwana — tąż samą dumkę śpiewali — Sława i potęga Polsce — na

pokład téjże samej budowie, szabłami siekli — na potęgę i sławę Polsce. —

(Dok. wyjątku J. Wyhowskiego będzie w nas. Nrze.)

O Jul. Urs. Niemcewiczu.

Więć o zgonie Juliana Ursyna Niemcewicza obieży wkrótce całą Polskę, i jak kraina nasza szeroka, pokryje ją żalobą żalu i smutku, bo strata takiego, jak on męża, nie jest stratą powszednią, nie dotyka jednej rodziny, ale ją cały naród podziela. Nie jest moim zamiarem przebiegać tu długi i świetny zawód obywatela, wojownika, poety, co na tak rozmaitych drogach zawsze wiernie i stale służył Ojczyźnie, co od kolebki do grobu oko ku niej mając zwrócone, jeden tylko miał dla siebie cel wytknięty: dla niej żyć i dla niej umierać. Ale najdrobniejsze szczegóły ostatnich chwil życia J. U. Niemcewicza są dziedzictwem narodowem: zapisać je w pamięci naszej, przekazać je późnym pokoleniom, to jest powinnością tych, którym los dozwolił patrzeć na schodzącą gwiazdę; i jam się poczuł do tej powinności, mimo słabości i nieudolności sił moich. Pierwsze będzie usprawiedliwienie drugich.

Julian Ursyn Niemcewicz przeżywszy 84 lat wieku, przeniósł się do wieczności dnia 21. Maja 1841. o godzinie pół do dziesiątej rannej, w mieszkaniu swoim (na ulicy du marché d' Aguesseau Nro 8.) w Paryżu. Śmierć zastała go w zgodzie z sobą i ludźmi, w jedności z Bogiem: bo łaska Boża spłynęła na sędziwego starca, i ostrzegła go, że wkrótce przyjdzie chwila, w której powołanym będzie do innego wiecznego, nieśmiertelnego żywota. Nie tań Niemcewicz przed przyjaciółmi swemi tych niebieskich ostrzeżeń; owszem na kilka dni przed zgonem. 17. Maja będąc u księcia Adama Czartoryskiego, żegnał go i z rozczuleniem powiadał mu, że po raz ostatni już jest gościem u niego. Nazajutrz pisał do jednej z blizkich swoich znajomych Hr. K. . . te słowa: *Venez me voir car je m'en vais*, a nazajutrz u synowca swego, gdy wszyscy przyjaciele byli u niego na wieczorze zebrań, poważny starzec późno w noc odchodząc, zostawiał im błogosławieństwo swoje, jakby zakład przyszłego z nimi przymierza. W wigilią śmierci zapisywał jeszcze do dziennika własną ręką swe noty.

W nocy z 20. na 21. nadeszła słabość przepowiadnia i zwiastunka śmierci, kazał przywołać do siebie synowca, Karóla Niemcewicza, i z nim do ostatniej chwili zachowując zupełną przytomność umysłu, rozmawiał. Cicho, spokojnie uleciała dusza jego w pozaziemskie krainy, zostawując po sobie niespożytą pamięć cnót i przykładów godnych naśladowania dla mężów, co jak Julian Ursyn Niemcewicz, mają kiedys śród polskiej ziemi zasłynąć.

Dnia 24. Maja zwłoki jego przeniesione zostały do kościoła Wniebowzięcia przy ulicy świętego Honoriusza, zkąd

po odprawionem nabożeństwie, orszak pogrzebowy udał się drogą na dolinę Montmorency, bo życzeniem było zmarłego, aby tam one pochowane zostały.

Nigdy liczniejsze nie było zebranie rodaków, jak w dzień oddania ostatniej posługi ś. p. J. U. Niemcewiczowi. Powiększyli orszak żałobny, licznie zgromadzeni wszech narodów cudzoziemcy; i jeżeli powszechniejszy smutek ma być miarą wielkości straty, bez wątpienia, kto widział tyle łez, tyle zasmuconych twarzy, musiał wyrzec do siebie: oto płaczą zgonu męża, który był ozdobą kraju swojego.

Dolina Montmorency leży o 5 mil od Paryża. Tam przed laty J. U. Niemcewicz mieszkał wspólnie z towarzyszem i przyjacielem swoim, generałem Kniaziewiczem. Tam rozpamiętywał z nim razem i zesze lata nadziei i szczęścia i dzisiejszość niefortunną. W tem cichem ustroju obrał dla siebie miejsce wiecznego spoczynku.

Ledwie karawan pogrzebowy stanął u wejścia doliny, otoczyły go tłumy, bieżące ze wszech stron; bo każdy ubiegał się o to, aby garść ziemi, przezeń rzuconej, usypała mogiłę na świadectwo przed Bogiem i ludźmi dochowanej w sercach polskich czci i uszanowania zmarłego. Pieszko, w powozach, kto jak mógł, spieszył do bram smentarza i przeszło 200 Polaków zmieszalo się z ludnością Montmorency, która mając na czele swoim mera i duchowieństwo, wyszła na spotkanie i przyjęcie zwłok J. U. Niemcewicza.

O godzinie trzeciej stanęliśmy na smentarzu. Ciało nabalsamowane i złożone w podwójnej trumnie spuszczone do grobu. Otoczyliśmy go w około, a książę Adam Czartoryski, jako przyjaciel zmarłego, jako najdostojniejszy z rodziny polskiej, pożegnał zwłoki Niemcewicza i był tłumaczem naszego żalu. Mowa jego była raczej wylaniem osobistych uczuć, przypomnieniem pamiątek zaczerpniętych z wspólnego im żywota aniżeli ocenieniem zasług, jakie Niemcewicz dla ojczyzny położył. Zrozumieli to dobrze spółrodacy, że w chwili tak uroczystej, nie przystało dostojnemu mówcy powtarzać szczegółów, które przeszło od półwieku, każdy Polak od kolebki prawie w pamięci swojej miał zapisane, ale raczej należało tylko mówić o wielkości straty, jakąśmy ponieśli, i mowa była w zgodzie z słuchaczami. Łzom jego odpowiedziały łzy i żal powszechny. Po księciu Adamie zabrał głos generał Kniaziewicz: „Nie dziwujcie się rodacy,“ rzekł on: „... Przyjaźń, co nas łączyła, przeżyła z nami cały wiek nasz długi. Związaaliśmy ją w pierwszej młodości, dochowaliśmy, jak widzicie — do grobu. Nie dziwujcie się, żeśmy w niej dotrwali: Uczucie, którem ta przyjaźń szczególnie żyła, było to główne serce polskich uczucie, miłość ojczyzny, związek nasz na niej oparty, musiał być trwały. ... Czcic mężów zasłużonych ojczyźnie, jest to czcic ojczyznę i tylko małe i nikczemne dusze wolą

zazdrościć i czernić, niż kochać i wielbić.“ Cieszył się starzec, widząc nas tak rozżalonych, z takim poszanowaniem i z taką czcią otaczających grobowiec Ursyna. „Bo nie wątpię o losie narodu,“ były jego słowa, w którym prawdziwa zasługa, choć przy zgonie, taką odbiera nagrodę. Zachęcał do wytrwałości i obracając mowę do księcia Adama Czartoryskiego i do innych poważnych wiekiem mężów, rzekł: „nam wytrwać, nie jest już wielką zasługą, bo Opatrzność powoła nas rychło do innego żywota, ale w am młodzi niech przykład Niemcewicza będzie obecnym, abyście, jak on, powiedzieć mogli, w sumieniu waszem: dotrwaliliśmy do końca.“ Po nim ksiądz Treпка, kapłan polski, w krótkich słowach przemówił, a na ostatek Antoni Gorecki złożył na grobie wiersze: z których początek:

Piękny Maj w Montmorency zieleni się w koło:

Wam widok Niemcewicza zwłok zasępił czoło!

Ach bracia! czyż się smucić? ... cieszyć się przystało,

Ze mąż Ojczyźnie miły, tak dni skończył z chwałą.

O Polsko, dziś Twa wielka siewba się odbywa,

Ale przyjdzie radośny czas Twojego żniwa,

Co dziś kopiesz po świecicie śród cichój żałoby,

Będiesz z chlubą wzkazywać synów Twoich groby.

Dochowaną ziemię oczyszczą złożył książę Adam Czartoryski przy trumnie zmarłego; śpiew żałobny kapłanów smutnie rozległ się po smentarzu, a wieko trumny głuchem echem liczyło garście rzucanej ziemi, potem wszystko ucichło. Ze zbolełym sercem opuściliśmy smentarz, a z nami zawarły się jego wrota. Na smentarzu w Montmorency wszystko już było skończone, ale dopiero teraz rozpocznie się wielki żałobny obchód w ojczyźnie J. U. Niemcewicza.

J. U. Niemcewicz na kilka tygodni przed zgonem spał akt ostatniej swojej woli. Szczupłą sumę, bo kilkadziesiąt tysięcy franków wynoszącą, rozdzielił między krewnych, przyjaciół, na wsparcie literackich przedsięwzięć i na zakłady naukowe. Zapisał 5000 franków najszcześliwyszemu z wojowników Polski. Wszystkie swoje rękopisma i pamiętniki, zapisał Karólowi Sienkiewiczowi. Spodziewać się należy, że pan Sienkiewicz uważać będzie za dziełstwo narodowe, i że rychło publiczność polska pozna te skarby.*)

III. III.

*) Niepojętym jest i zasmucającym zjawiskiem, jak śmierć męża, który obecnego ducha narodu, sam prawie wypielegnował, jako prawdziwy narodowy arcykapłan i wieszcz, siły jego żywotne w massy przelać umiał, jak śmierć tak wielkiego męża dla wychowanych przez niego pokoleń, może być tak obojętną i żadnego prawie nie wzbudzać udziału. Nie mamyż ku czci jego ani jednego westchnienia, ani jednę cichęj łzy, ani jednego skromnego żałobnego obchodu? Nie zechcemyż jego poświęcenia, jego czystej miłości ojczyzny następnym pokoleniom do naśladowania przekazać? Cóż o nas wyrzeczcie potomność? oto, że jesteście albo niewdzięczni, albo niegodni. (Przypisek Redakcyi.)

Korrespondencya.

Wyjęte z listu z pode Lwowa, z d. 7. Czerwca 1841.

... to więc na późniejszy czas odłożyć musimy. Teraz pozwolicie sobie powiedzieć kilka słów o panu Ignacym Lojoli Rychterze. Nie staję ja bynajmniej w obrobie pana Maciejowskiego, którego cytaty nie bardzo sumiennie są oznaczone, dla przyczyn jemu samemu dobrze wiadomych, alż i pan Ignacy Lojola wystąpił z „Różnicami, zachodzącemi między Pamiętnikami Maciejowskiego, a Historią,“ w sposób, który mu na pierwszym podskoku (bo nie wiem, czyli co dotąd pisał i czytał; autor dzieła o nawozach, niegdy w Sieniawie wielowładny, jest jedną z nim osobą) nie wielką robi zaletę. Pan Ignacy Lojola należy widzę do tych ludzi, którzy za książkami nie mogą widzieć świata, którzy w bibliotece hrabiowskiej cierpią taki zawrót głowy, iż im nakoniec się zdaje, że świat się cofa, nie naprzód postępuje; że mówię, pan Lojola jest z liczby uczonych, których miłość własna tak omamila, iż mają się za olbrzymów, będąc tylko karzełkami, a pewni są, iż jak się porwą do pióra, a coś napiszą, to ludzie, jakby czarodziejską różeczką dotknięci, pobiegną krokiem raka i nakoniec do wieków średnich zajdą. Niech mi pan Lojola daruje: tak czarodziejskiej mocy nieoskrobane pióro jego niema, a że mu natura nie dała talentu do badań historycznych, łatwobym mu dowiódł temż samemi koncyljami i kapitularem kantuaryjskiego biskupa Teodora, których pod względem historycznym wcale nie zrozumie. Żeby się porwać do badań historycznych, trzeba naprzód umieć historią — a z piórem pana Lojoli pokazuje się, że jeszcze historyi nie umie. — Jemu nie może się pomieścić w głowie: że u nas (co i biskup Piasecki zaświadcza) przed zaprowadzeniem liturgi łacińskiej, już słowiańska krzewiła się. Pan Lojola nie zna jeszcze ducha i dążeń wieków X., XI., XII. i XIII., słowem, nie umie historyi, a z historykami chciałby chodzić w zapasy. Chcąc potępić Maciejowskiego, rozumie, że dosyć mu coś nakształt dowodów nabazgrać, i pewny jest, że my biedni czytelnicy, zwłaszcza na wsi, zaraz mu uwierzmy. Myli się bardzo pan Lo-

jola, żeby nawet imię jego znajomsze było w naszej literaturze, niebardzobyśmy na jego polegali zdaniu. I my na wsi nie w ciemie bici: umimy rozróżnić tych, co z dobrą wiarą przystępują do badań historycznych, od ludzi, co podbechtani obcemi podszepty, swoje unctione zdanie narzucić nam usiłują.

Pan Lojola chcąc dowodzić, że Mieczysław nie mógł być drugi raz chrzczonym na obrządek łaciński, przywodzi kanony i kapitularz zakazujący powtarzania chrztu w prostocie ducha (bo go o obłudę oskarżać nie chcę) rozumie: że takowe powtarzanie chrztu w łacińskim kościele, nigdy, ani dawniej ani później miejsca mieć nie mogło. Takie rozumowanie dowodnie okazuje: iż radząc zacnemu p. Lojoli, aby się w badania historyczne nie wdawał, dajemy mu nie mały dowód szczerej przychylności; bo dla nas zakaz ten jest niemylną oznaką, iż w kościele łacińskim chrzest powtarzano. A wreszcie nie wiadomoż panu Lojoli z historyi, że u nas jeszcze zeszłego wieku chciano drugi raz chrzczyć unitów. *Ex hoc uno disce omnes.* Z tego widzimy, że pan Lojola mając jakieś uboczne cele, nam wieśniakom chciałoby oczy mydląć. Przechwalką zaś, że w dziele Michała Wiszniewskiego wytknie pięćdziesiąt dico Nro 50 myłek historycznych, wystrychnął się Pan Lojola na Donkiszota literackiego. Piękny zaiste eksemplar, który naszym komikom polecamy.

S . . .

W drukarni na Garbarach pod Numerem 45. dostać można następujących książek:

Gabinet Medali polskich przez hr. Edw. Raczyńskiego. Tom III.	7 1/2 Tal.
Kodex Dyplomatyczny Wielkiej-Polski, przez hr. Edw. Raczyńskiego.	5 Tal.
Zbiór dramatyczny, zawierający Ludgardę Kropińskiego, i Mędrzec Wybiekiego, z manuskryptu wydane przez hr. Edw. Raczyńskiego.	3 Złp.
Materyały do panowania St. Leszczyńskiego, przez hr. Edw. Raczyńskiego.	3 Złp.
Kollataja o Stanie Oświaty, p. br. Ed. Raczyńskiego.	2 Tomy. 1 Tal.
Anna, powieść M. Czajkowskiego.	2 Tomy. 2 Tal.
M. Marchockiego Pamiętniki o Wojnie Moskiewskiej.	1 Tal.
Prenumerata na dzieło: „Dzieje Kościoła Helweckiego w Litwie,“ przez J. Łukaszewicza.	2 Tomy z rycinami. 4 Tal.



Od Redakcyi.

Szanowni Prenumeratorowie Orędownika, raczą wcześniej w Królewskich Pocztamtach złożyć Prenumeratę w ilości 9 Złotych polskich na drugie półrocze, zaczynające się od 1. Lipca, aby przerwy w nadsyłaniu Numerów nie doznali.

Redakcyja Orędownika: **A. Popłinski. J. Łukaszewicz.**